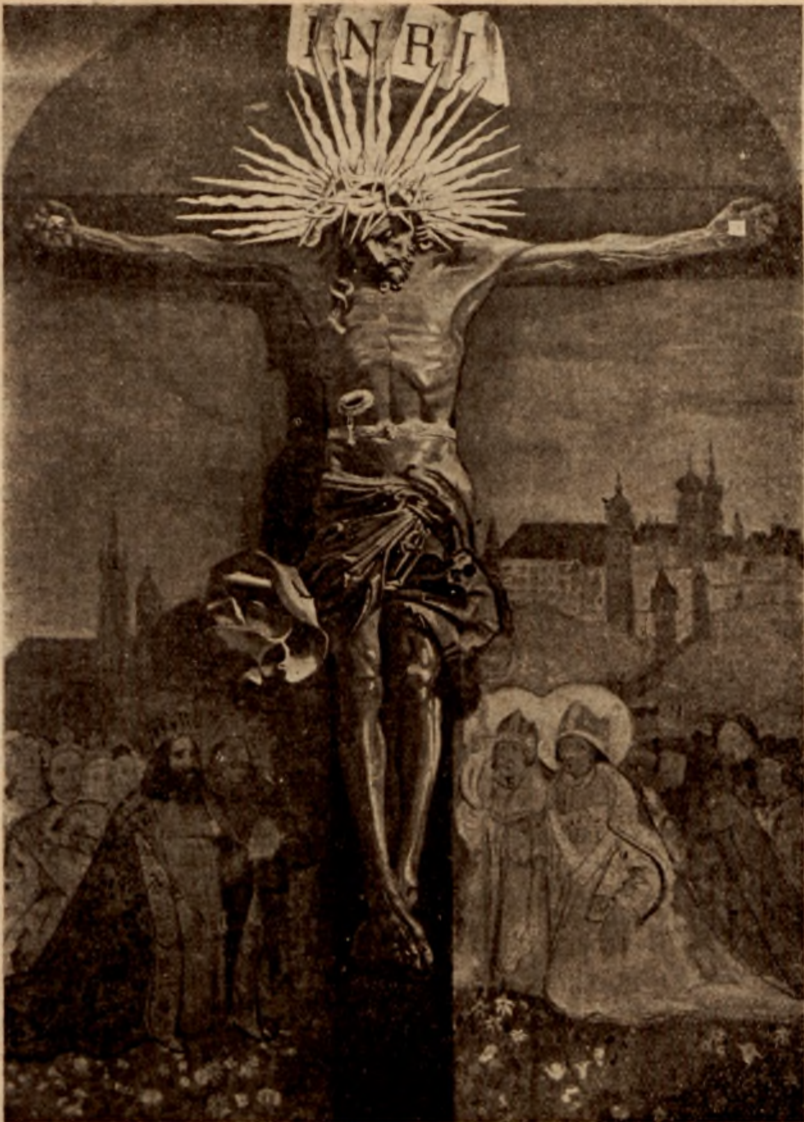


Leon Wyczółkowski: Krucyfiks na Wawelu. Warszawa. Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 15 STYCZNIA 1937 NR. 9

Mistrz litografii polskiej

Wyczółkowski Leon już nie żyje. Zmarł przeżywszy osiemdziesiąt cztery lata, nie przestając, niemal do ostatniego dnia swego życia, pracować jako artysta. Jako artysta nieutrudzony w mistrzostwie. Osiemdziesiąt cztery lata Jego życia, to okres historii sztuki w Polsce. Dość powiedzieć, że był uczniem Matejki i przeżył Skoczylasa. Kiedy niektórzy z artystów wchodzili w szranki artystycznych zawodów, Wyczółkowski już w nich odnosił zwycięstwa, a kiedy ci sami ustępowali, umierając, Wyczółkowski jeszcze odnosił zwycięstwa. Był w swej żywotności człowieka i artysty wspaniały, dostojny i czcigodny, jak wiekowe drzewa o pniach niebosiężnych i rozrosłych konarach, o niezmożonym rdzeniu żywotności.

Wyczółkowski kochał drzewa, braci w Przyrodzie, czując, że ta sama jest Wola, która przenika ich i Jego ciało życiem wytrwałym. Wyczółkowski żył ostatnio pośród tych braci roślinnych i rysował je z miłością (w Gościeradzu, małej posiadłości ziemskiej, w okolicy Bydgoszczy na granicy borów Tucholskich. Gościeradz otrzymał w darze od społeczeństwa poznańskiego).

Tam też pragnął, aby złożono jego doczesne szczątki.

Pragnął zapewne, kiedy już dusza ciało Jego opuści, aby to ciało stało się prochem żywiącym żywot drzew ukochanych, wzamian za żywot jakim ich urok ożywiał dzieła artysty.

*

Kiedy skorupa ziemska ulega wstrząsom na skutek zżymania się ognistego jej wnętrza, na białych powierzchniach wstęg papierowych, nawiniętych na aparaty sejsmograficzne, utrwala się niespokojny w rytmie wykres gorączki owej kropli materii zwanej ziemią, zastygającej wewnętrznie, a rozpłomieniającej się na powierzchni coraz bujniejszym życiem człowieka. Wykres ten jest zarówno pismem, jak rysunkiem. Czymkolwiek jest, daje się odczytać, zrozumieć jako znak sprawy, która się działa. A już niewielka jest różnica między dzianiem się dygotań magmy w głębi globu ziemskiego, a między dzianiem się trzepotań serca w głębi piersi człowieka.

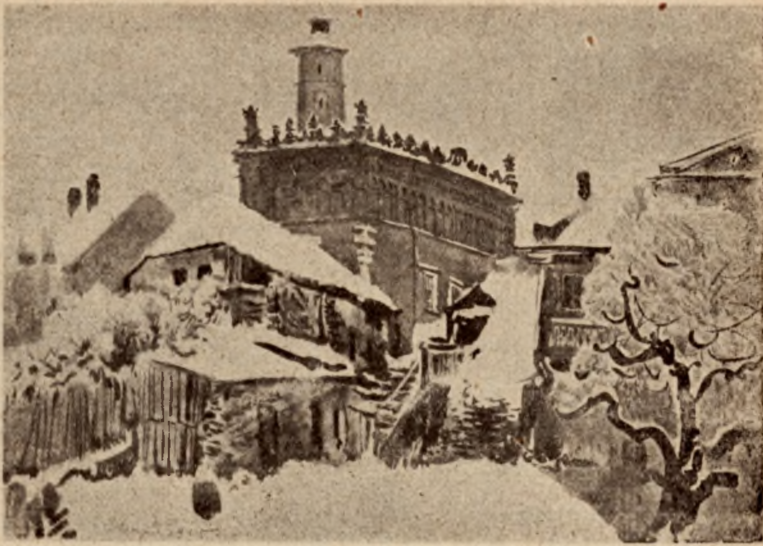
I kiedy człowiek pisze list do drugiego człowieka, nie czyni nic innego, jak to jedynie, że daje swemu bliźniemu znaki. Z tych znaków odczyta adresat rytm uczuć i pomyśleń piszącego list.

I nie tylko czytając treść napisanych słów, ale charakter pisma. Analizując rytm zygzaka pisarskiego. Czy jest on kanciasty, czy okrągły. Rozważając go z puktu widzenia kształtu. Oczywiście, mowa jest o piśmie indywidualnym, w którym osobiste cechy charakteru nie są zamaskowane przez narzucone przez kaligrafię sposoby, zasady pisania liter. Rękopis kaligraficzny jest, jeżeli chodzi o kształty pisma, obrazem upodobania, na skutek którego osoba pisząca dokonała wyboru tego czy innego typu pisma. Ale takie pismo nie notuje falowań usposobienia piszącego, nie jest tym, co nazywamy autografem. Można swe nazwisko napisać, a można „się podpisać" swoim nazwiskiem. W tym drugim wypadku mamy do czynienia z autografem.

*

Podobnie rzecz się ma z rysunkiem. Zygzak, zawiklina rysownicza jest także obrazem temperamentu rysownika, jest znakiem porozumiewawczym między nim a widzem. Przy innej okazji będę miał niewątpliwie możność zestawienia różnych rysunków — znaków, kreślonych przez rozmaitych artystów. W tej chwili dążę ku czemu innemu. Zatrzymam się

Litografia Leona Wyczółkowskiego: Ratusz w Sandomierzu.



Udzielone do reprodukcji przez p. J. Mortkiewiczową.

w Japonii. Rysownik japoński typu tradycyjnego tym samym narzędziem pisze i rysuje, (nawiasem mówiąc, do dzisiaj Rosjanie mówią na malarstwo pisat' kartiny = malować obrazy) a mianowicie pędzelkiem maczanym w tuszu. Wygląd też ich znaków pisarskich ma pewne pokrewieństwo kształtów z wyglądem znaków rysowniczych. Można o Japończykach powiedzieć, że rysują litery, a piszą krajobrazy. Podobnie też jak istnieje ileś tam milionów, mówiąc żartobliwie przesadnie, japońskich znaków pisarskich, istnieje też drugie tyle znaków rysowniczych. Widziałem w Warszawie pokaz malarza Japończyka, który wobec publiczności rysował pejzaż, portret i kwiaty. Polegało to na mistrzowsko umiejętnym dotykaniu, uderzaniu, muskaniu i t. d. papieru pędzelkiem nasyconym tuszem. Wyuczone przez tysiące ćwiczeń palce artysty znaczyły rodzajem znaków konwencjonalnych kwiaty wiśni, jabłoni, bambusy, sosny, deszcz, potok górski, góry, obłoki, ptaki, wreszcie twarze ludzkie. Wyglądało to istotnie, jak pisanie liter rysowniczych.

Czytelność tych liter rysowniczych polegała na charakterystyczności kształtu samego zygzaka, który pozwalał poznać w nim odwzór np. dachu albo ptaka.

Na prehistorycznych wazach glinianych także widać takie litery rysownicze. Bo przedhistoryczny człowiek dorosły zupełnie tak samo, jak dzisiejsze dziecko, chcąc pokazać, że ma na myśli np. słońce.: rysował kółko, mniej lub bardziej zgrabne i kilka kresek promieni. Nie umiejąc jeszcze napisać wyrazu słońce — rysuje wizerunek jego i jest zrozumiany.

*

Ale każde dziecko, i nawet to samo dziecko, za każdym razem narysuje ów wizerunek nieco inaczej, nigdy nie powtórzy go tak samo, bowiem ręka ludzka nie jest częścią maszyny, mającej ściśle aż do precyzji ustalony ruch. I tutaj właśnie występuje charakterystyczność rysownicza. I jeśli porównać rysunek Matejki, Wyspiańskiego i Wyczółkowskiego, zauważymy odrazu różnice między nimi.

Ich rysunki są autografami.

Dotyczy to szczególnie artystów nowoczesnych, którzy uprawiają w większości wypadków rysunek tak zwany nerwowy, nie liczący się z żadnymi rygorystycznie narzuconymi zasadami,

a dbający jedynie o oddanie wrażenia, jakiego artysta doznaje wobec natury, lub o oddanie wyrazu, jaki artysta chce sygnalizować widzowi. Mówiąc żartobliwie, rysunek taki przypomina okrzyk np. człowieka ukłutego niespodziewanie szpilką.

Artysta, wrażliwszy od innych ludzi na uroki przyrody, „ukłuty" przez zachód słońca, albo widok lasu czy ruchy zwierzęcia, wydaje okrzyk-rysunek. Ptak śpiewa, kwiat pachnie, gwiazdy migocą, ocean faluje, artysta tworzy dzieła sztuki.

Artysta, imając się ołówka, pędzla, dłuta, rylca, czy czego tam jeszcze, opisuje, maluje, rzeźbi, rytuje, pisze nuty. Jeżeli czyni to pod pierwszym impulsem, bezpośrednio, jest artystą typu uczuciowego, żywiołowego. Jeżeli przemyśla swe dzieło, zastanawia się nad całością i szczegółami skrupulatnie, stanowi typ rozumowy.

Wyczółkowski jest artystą typu wrażeniowego. Pogięta charakterystycznie gałąź sosny, świetlisty czar kwitnącego drzewa owocowego, modlitewny nastrój wnętrza kościoła, działają w sposób tak wzruszający na artystę, że nie mogąc się temu wzruszeniu oprzeć, chwyta kredkę i rysuje, notuje doznane wrażenie.

I talent jego jest tak wspaniały, że nie potrzebuje się mozolić długimi namysłami nad sporządzeniem odwzoru swych wzruszeń artystycznych: rysuje, chce, czy nie chce, dobrze. Znaczy ślad kredki nieomylnie, olśniewając nas widokiem rysunku pełnego czaru. A my z kolei wobec tego rysunku doznajemy wzruszenia pięknem takiego, jakiego doznał artysta wobec natury.

Ale wrażenie to jest skupione — patrząc na sosnę Wyczółkowskiego, całą uwagę mamy pochłoniętą przez jej wizerunek — nie czujemy jej zapachu, nie słyszymy poszumu wiatru w jej igliwiu.

I widząc jej kształt ogólny, nie rozpraszamy uwagi na pojedyncze igły, na poszczególne stłuszczone części kory.

Oglądamy w rysunku artysty to, co jest najważniejsze w dziele sztuki — urok kształtu, urok jego rytmu.

Oglądając rysunki Wyczółkowskiego, czy wyobrażają one kwiaty, pejzaże czy portrety lub architekturę, zawsze jesteśmy przeniknięci ich urokiem. I nie dlatego podobają nam się widoki np. Wawelu czy Polesia, że to są widoki właśnie Wawelu czy Polesia, ale dlatego, że rysował je Wyczółkowski. Sposób, w jaki są narysowane, jest tak pełen nieodpartego czaru

Grubość linii i ich szarość, czarność taka a nie inna, kształty rozmaitych kropek, centek, kresek czy sztrychów, oto, co składa się na w a r t o ś c i e s t e t y c z n e rysunków Wyczółkowskiego. Musimy obejrzeć z bliska kilkanaście przynajmniej litografii tego wielkiego rysownika, aby poznać ich piękno i cechy tego piękna. Może nam się nie będzie ono podobało. W sprawach sztuki trzeba nabrać pewnego doświadczenia, wyrobić sobie smak estetyczny, wykształtować znawstwo. Wyrabia się ono przez częste oglądanie dobrych dzieł sztuki, najlepiej w oryginałach, a jeśli nie można, to przynajmniej w reprodukcjach.

Rysunki Wyczółkowskiego mogą na nas robić wrażenie szkiców, rzeczy nie skończonych, zrobionych jakby na kolanie. Nie można ich oczywiście porównywać z rysunkami np. Grottgera. Ale bo też, jak powiedziałem już, Wyczółkowski, podobnie jak np. Noakowski, nie usiłuje dokładnie, drobiazgowo przedstawić nam pewnego tematu, ale jedynie porazić nas jakby prądem wzruszenia artystycznego.

Nie dziw, że linia jego rysunku jest podobna do błyskawicy. Jest ona drogą porozumienia się między sercem artysty, a sercem widza. W jej świetle doznajemy wstrząsu mocniejszego, niż na widok jakiegoś wypiłowanego rysunku. Przecież słysząc krzyk rannego bardziej jesteśmy przejęci, niż wobec rozwlekłej gadaniny o bólu fizycznym.



Litografia L. Wyczółkowskiego. Stan drzewa w Puszczy Białowieskiej.

Nie możemy też zastanawiać się, dlaczego nas ten krzyk wzrusza. Pozostaje nam jedynie stwierdzić, że nas wzrusza.

W zbyt krótkim artykuliku nie da się omówić całej wielkości dzieła zmarłego tak niedawno artysty. Wyczółkowski był malarzem i grafikiem. Malował farbami olejnymi i akwarelami, rysował pastelami oraz czarną kredką litograficzną. Malował i rysował portrety, pejzaże, kwiaty i drzewa.

Ilość Jego dzieł jest ogromna, a wszystkie są wielkiej miary artystycznej.

Jako malarz był mistrzem koloru. Umiał zestawiać niezwykle piękne kompozycje barwne.

Na wycieczce do Zachęty lub Muzeum Narodowego może kiedy pokażę Wam Jego obrazy. Dzisiaj miałem na myśli litografie*) artysty.

*

*) Litografia polega na tym, że na specjalnym rodzaju kamienia (w formie grubej płyty), o powierzchni odpowiednio wygładzonej, rysuje się tłustą kredką. Tłuszcz tej kredki pokrywa, mniej lub więcej, różne części powierzchni kamienia i kiedy się na tę powierzchnię podziała kwasem siarczanym, to kwas oszczędza miejsca zatłuszczone. Po zmyciu kamienia po tym zabiegu kwasem, pokrywa się go farbą drukarską, która zatrzymuje się tylko na tych miejscach kamienia, które nie podległy działaniu kwasu. Po przyłożeniu papieru, w odpowiedniej prasie sporządza się odbitkę. Taka odbitka nazywa się litografią. Wyczółkowski właśnie słynął ze swoich świetnych litografii.

Na zakończenie podaję zwięzłe dane życiorysowe artysty:

Ś. p. Leon Wyczółkowski urodził się przed 84 laty w Miastkowie Kościelnym na Podlasiu. Studia malarskie odbywał w szkole Gersona w Warszawie, w akademii Wagnera w Monachium, w latach 1877—79 był uczniem Jana Matejki.

Od r. 1895 do 1911 był profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W czasie wojny światowej wstępuje do Legionów i z tych czasów pochodzi bogaty zbiór rysunków i autolitografii.

W r. 1928 osiedla się w Poznaniu, ostatnie lata spędza w swoim majątku na Pomorzu. Po śmierci ś. p. prof. Skoczylasa obejmuje kierownictwo grafiki Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, dokąd dojeżdżał niemal do ostatniej chwili.

Tadeusz Cieślewski, Syn.

Jaką widziałam akademię ku czci Pana Prezydenta

Przed rokiem, w W.! Co za akademia!

Już od początku stycznia uczenice klasy VI gimn., którym przypadła w udziale organizacja tej akademii, zamieniły się w „pacykarzy". Zakupiły wszystkie chyba farby, jakie w niestołecznym W. były i malowały dekoracje. Na podłodze sali aktowej leżały olbrzymie płachty papieru. Nad tymi płachtami w urozmaiconych pozach niewieście postacie z kiściami pędzli w dłoniach, z farbami w miskach, na fartuchach... i na twarzy!

A potem — zdobywanie reflektorów!

A potem... Trzeba było koniecznie do pierwszej sceny sosen (jako smreków tatrzańskich). Szóstaki miały zapału pełne serce, ale kieszenie mniej pełne pieniędzy. Więc poszła delegacja do pana prezydenta miasta, by ofiarował sosny z magistrackich lasów. pan prezydent petentki przyjął, uśmiechnął się i kazał sosny dać.

Ale sosny nie miały nóg, więc:

— Panie prezydencie, czy moglibyśmy prosić o konie, by sosny przywieźć? —

— Emocja. — I nowe:

— Tak, owszem!

— Niech żyje pan prezydent miasta!

Trzeba było góralskich strojów — te się pożyczyło z teatru w Toruniu. A marynarskie stroje — od znajomych marynarzy. Najłatwiej było ze strojami górników śląskich, bo cała scena w kopalni była prawie po ciemku.

A potem: roznoszenie zaproszeń do szkół w W., do pana prezydenta, do wszystkich wielkich figur! To był dobry trening w biegu przed olimpiadą, zważywszy na brak czasu, a mnogość dostojników, których trzeba było zaprosić „koniecznie" i „osobiście"!

Wreszcie popołudnie 31. I. 1936 r. Duża, piękna sala wypełniona po brzegi bracią szkolną i gośćmi. Wyjątkowo bez przygód kurtyna dała się rozsunąć.

Tatry. Profile skał, smreki (czytaj: sosny). Łączka wśród gór. Ławki. Pani Nauczycielka rozmawia z gazdami i gaździnkami o Panu Prezydencie. Jeden z gazdów, bardzo mądry, wie, że Pan Prezydent ma pałac w Wiśle. (Jontkowa tego ani rusz pojąć nie może, jak to pałac stoi w rzece?). Wie, że umie Pan Prezydent robić górskie powietrze na nizinach, tylko i mądry gazda nie wie dobrze, jak się to robi.

W oczach, w sercach górali rośnie Pan Prezydent, jako Gospodarz Najwyższy, Pierwszy Gazda Rzeczypospolitej. Życzą Mu z głębi duszy gazdo-

WIERZBA

Kiedyś popłynę rzeczułką — w łąkach ukrytą Ciemiengą —
Złotym kajakiem — do snu.
Kiedyś nie będzie krzywdy, ciążącej na widnokręgu
jak rozżarzony słup.

Wieczność — to chwila milczeniem pod strop rozdzwoniona —
wichrząca noce i dnie.
Niebo — dojrzałych czereśni grona —
— pszeniczna pieśń ! . . .

Wierzbo płacząca — chciej unieść złote gałązki ku górze —
Kwiatami na czoło spłyń.
Ktoś mię opętał słowami — ktoś urzekł —
dobry — a może i zły.

Zgięta nad wodę czeremcho — siostro zabitej piorunem —
najwięcej o rzece wiesz.
Modlę się — zanim na dno rzeki runę —
w korzenie spróchniałych wierzb.

Oto się zbliża godzina, kiedy świat cały utracę,
świat, który ślepnął i głuchł.
I nie potrzeba grabarza z ciężką łopatą i gracą. —
Nad wodą ciche brzęczenie,
śpiew jednodniowych much . . .

Władysław Podstawka.

---

wania jak najszczęśliwszego. Żyj nam, Gazdo Najdostojnieszy, żyj!

Z pełności serc młodzież góralska puściła się w taniec zbójnicki. Chłopcy tupią w podłogę sceny, aż wióry lecą (zamiast iskier). Śpiewy i przyśpiewki! Bis! Bis!

Ale — zmartwienie. Piękna Maryś nie chce patrzeć na Wojtka, boczy się, odwraca głowę. Więc Wojtek oświadcza, że „pójdę se w świat, w górniki, pod ziemię, kiej mie Maryś nie kcesz".

*

Scena druga: czarno, czarno, czarno! Tylko dwie latarki górników stoją na podłodze a ciemne sylwety pochylają się miarowo, waląc ciężkimi (prawdziwymi!) kilofami w skałę (pień drzewa).

Rytm udetrzeń. Na ich tle zza sceny deklamacja: jak górnik zdobywa Państwu bogactwo. I hymn górników.

Potem rozmowa górników — o Wielkim, Naczelnym Inżynierze, co budował od lat maszyny mądre, a teraz największą Maszynę Państwa prowadzi!

I deklamacja kl. I gim. Tuwima: „Serce maszyny".

To było prześliczne! Cała klasa chóralnie naśladowała odgłos maszyny: czach! czach! świst! zgrzyt! A na tym tle jeden głos, dźwięczny, głęboki deklamował z doskonałym wyczuciem rytmu wiersz o tym, jak: „bi-je serce ma-szy-ny".

Tymczasem za kurtyną zmiana dekoracji. Rozsuwa się kotara. Świetnie zrobiony pokład okrętu. Deski podłogi, komin okrętowy, barierka wokół pokładu. Za barierką tuż, tuż fale błękitno — rozsłonecznione, niebo i mewy.

Przed kapitanem okrętu stoi na baczność załoga; wśród marynarzy jest i Wojtek z Kościeliskiej. Słuchają rozkazów:

— Dziś uczcimy dzień imienin Najdostojniejszego Sternika odśpiewaniem hymnu marynarzy. Smyk (najmłodszy z marynarzy) będzie deklamował. Potem taniec marynarzy.

(Niestety, nie pamiętam, z czego pochodził ładny wyjątek o okręcie i jego bohaterskim kapitanie, który deklamował Smyk.)

Taniec marynarzy musiał być powtarzany aż trzy razy. Tyle było po-

ezji w jego ruchach, w ciągnieniu liny, składaniu żagli!

Na zakończenie Pan Kapitan przemówił do swych chłopców pięknie, serdecznie, głęboko. Mówił o Najwyższym Sterniku, co kieruje Państwem w żegludze ku wielkiemu Jutru. W mowie kapitana była szerokość świeżych, dziewiczych przestworzy morskich i rzeźkość morskiego powietrza, przesyconego solą.

— Prowadź nas, Sterniku Najlepszy!

*

Wreszcie (jaka szkoda, że to już koniec), ostatnia scena: znów Tatry, Wojtek wrócił do gór i teraz go już Maryś przyjęła.

Brawo! brawo! — a potem dobra kolacja dla spracowanych szóstaków, owacje dla autorki akademii, polonistki, oraz dla nauczycielki gimnastyki, co wyćwiczyła tańce i nauczycielki rysunków, co pomogła skomponować artystyczne dekoracje.

A w r. 1937 będzie bis – ale w którym gimnazjum Polski?

Widz.

Przygoda Petersona

(Dokończenie)

Peterson zaczął opowiadanie:

— Było to, zdaje się, w lutym; pogoda panowała taka sama, jak dzisiaj (w tej chwili wdarł się do wnętrza silny podmuch lodowatego wiatru ze śniegiem, czyniąc opowiadanie bardziej namacalnym), gdy przypadkiem znalazłem się w pobliżu Szatana. Góra ta, jak pewnie panu wiadomo, nie cieszy się zbytnią popularnością wśród taterników, a rzadko kto odważyłby się w jej okolicy noc przepędzić. Nikt wprawdzie nie wierzy w owe tajemnicze czary, jakie mają się tam w nocy odbywać, ale mimo to każdy woli udać się do pobliskiego schroniska w Popradzkim. Ot tak — na wszelki wypadek. Może i ja zrobiłbym to samo, gdyby nie drobne zdarzenie: zerwała mi się mianowicie więźba u narty i ani rusz nie mogłem jej naprawić. Biedziłem się dobre trzy godziny, a gdy wreszcie udało mi się zesztukować ją jakoś za pomocą drutów i sznurka, zrobił się wieczór. Jak tu wracać po ciemku w tak niepewnym terenie? Nic łatwiejszego, jak kark skręcić. Nie uśmiechała mi się też myśl pozostania na miejscu, ale cóż było robić? Z dwojga złego wolałem już to mniejsze. — No, i pozostałem!

Peterson wypowiedział ostatnie zdanie takim tonem, jakby to oznaczać miało, że skoczył z piątego piętra na ziemię.

— Z początku szło wszystko normalnie, choć mimo ognia dygotałem z zimna, szczękając tak głośno zębami, że słyszeć mnie musiano chyba aż w schronisku, ale gdy dołożyłem więcej drzewa i wypiłem garnek herbaty, poczułem się znacznie lepiej. Siedziałem odwrócony plecami do Szatana, nie chcąc patrzeć na jego posępny ogrom, o którym tyle krąży legend i starając się zdrzemnąć trochę. Była właśnie pełnia, jak i teraz — wskazał ręką na otwór w dachu, przez który patrzała na nas trupia twarz księżyca, a cienie szczytów pełzały leniwie po dolinie. — Upłynęło dobrych kilka chwil, może była już nawet północ, gdy obejrzałem się za siebie. Uczyniłem to mimowoli, jakby kierowany jakąś wyższą siłą, i wtenczas, może pan wierzyć lub nie, wcale mi na tym nie zależy — wtenczas to właśnie ujrzałem coś okropnego. — W odległości jakich stu kroków ode mnie stał stwór jakiś, ni to człowiek, ni to zwierzę, coś nadzwyczajnego i przerażającego zarazem. Stało to „coś“, chwiejąc się na swych

cieniutkich, jak kije nogach, nad którymi wisiał pękaty ogromny brzuch. Głowy nie mogłem dojrzeć, ale za to aż nazbyt dobrze widziałem ręce wzniesione do góry w jakimś przerażającym geście przekleństwa, czy też błogosławieństwa. Włosy stanęły mi dęba na głowie, po prostu skamieniałem ze zgrozy. Przeżegnałem się szybko, myśląc, że stwór zniknie natychmiast. — Ale gdzie tam! stoi dalej i chwieje się na oba boki. Co teraz będzie? — pomyślałem — diabli mnie skusili zostać tu na noc. Rozejrzałem się naokoło, którędyby najlepiej było zwiać, ale na nieszczęście jedyna droga prowadziła właśnie koło owego zjawiska. Zimny pot wystąpił mi na czoło, z niezwykłą wyrazistością przypomniałem sobie bowiem wszystkie straszne opowiadania, krążące o Szatanie. — Ano, nie ma rady. Co ma się stać, niech się dzieje. Może lepiej wyjść nieszczęściu na przeciw, niż czekać tu na nie. — Ostrożnie podniosłem się na nogi, mając oczy wciąż utkwione w widmo i chcę przypiąć narty. — Nart nie ma! Znikły bez śladu. Plecak też zniknął... Przepadło! na piechotę uciekać nie podobna, śnieg sięgał przecież po pas. Ale kiedy „on" wziął moje narty (pewny byłem, że to „jego" sprawka, przecież nikogo w pobliżu nie dostrzegłem)... Znów mi się zimno zrobiło, tym bardziej, że nieszczęście stało się nieuniknione. Przemogłem się jednak — niech się dzieje co chce! Wstaję znowu i idę wolno w „jego" stronę. Nie uszedłem nawet dziesięciu kroków, gdy stało się coś okropnego. Na szczycie Szatana rozległ się ryk tak potężny, jakby całe sklepienie niebieskie miało mi się zawalić na głowę. Wykrzyknąłem głośno i począłem jak szalony uciekać w przeciwną stronę, prosto w przepaść, znajdującą się o jakie kilkadziesiąt kroków. Zatrzymałem się tuż nad brzegiem. Ryk wcale nie ustawał, ale zwiększał się jeszcze z każdą chwilą. Spojrzałem za siebie. Z góry, w szalonych skokach sunie na dół niebywałych rozmiarów lawina, rozbijając się na skałach, to znów łącząc w jedną masę, przewalającą się z hukiem nieopisanym. Sunie prosto na owego stwora. On nic. Stoi spokojnie i kiwa się na oba boki, tak jak przedtem. Jakby nigdy nic. — No, będziesz miał za swoje — pomyślałem z radością, ale wtem wpadło mi do głowy, że to przecież musi być jego sprawka. Odwilży nie było, więc skąd lawina? I znów strach mnie obleciał. — Lawina jest coraz niżej i niżej, już czub jej poczyna zbliżać się w błyskawicznym tempie do „niego", już „go" dosięga, już...

Tutaj Jerzy Peterson przerwał, chcąc zrobić na mnie większe wrażenie i kilka razy zaciągnął się dymem z fajki. Widząc, że patrzę na niego z natężeniem, umyślnie przeciągał pauzę, niby odpoczywając sobie. Dopiero, gdy spytałem go, co dalej, odparł:

— Co dalej? Ano nic. Stwór zniknął z powierzchni ziemi, jakby go wiatr zdmuchnął.

— No, a pan?

— Ja? Ja nie zniknąłem — przecież mnie pan widzi tutaj.

— Tak, ale co stało się dalej z panem? Jak pan wrócił do schroniska?

— Wróciłem dopiero na drugi dzień.

— Bez plecaka i bez nart?

Peterson wpadł w pasję, lub przynajmniej to udawał.

— Jakich nart? Jakiego plecaka? Przecież mówiłem panu, że znikły bez śladu!

— I nie znalazł już ich pan...

— Nie ma w tym nic dziwnego — mówił już spokojnie Peterson. — Przecież nawet człowieka trudno odnaleźć, gdy przysypie go lawina, a co dopiero plecak lub narty.

— Więc jakto — spytałem całkiem zbity z tropu — ta lawina zmiotła narty, no, a cóż z tym duchem?

Peterson znów zaciągnął się dymem:

— Właśnie to — lawina! Bo widzi pan, sprawa miała się tak: widząc, że przyjdzie mi nocować pod Szatanem, wbiłem narty w śnieg w ten sposób, że tworzyły jakby wielką literę X. W miejscu, gdzie się krzyżowały, zawiesiłem plecak, z którego wyjąłem menażkę, herbatę i zapałki, po czym wyruszyłem na poszukiwanie drzewa. Niestety, nie było za blisko, oddaliłem się więc jakie sto metrów od plecaka, zapominając o nim zupełnie. Zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy, jak już wspomniałem, około północy obejrzałem się za siebie. Byłem wtenczas bardzo podniecony myślą o dziejących się tutaj czarach, nic więc dziwnego, że wziąłem narty za owego stwora. W każdym razie wyglądały bardzo niesamowicie. Górna ich część wyglądała, jak wzniesione w niebo ramiona, dolna jak rozkraczone nogi, a zawieszony w środku plecak, jak pękaty brzuch. Wiatr kołysał tym wszystkim, a księżyc, rzucając srebrny blask, dodawał niesamowitości. I nim wrócił mi zdrowy rozsądek, musiała się właśnie urwać ta lawina. Pan, słuchając tego opowiadania, uwierzył w ducha, a cóż dopiero ja, który, jak sądziłem, widziałem go.

Tutaj Peterson urwał, jakby zapominając o mnie i zapanowało milczenie. Wiatr osłabł już nieco, dając nadzieję możliwej pogody na jutro. Dołożyłem drzewa do ognia.

— No, ale z całej tej przygody nie dowiedziałem się niczego o panu, tak, jak mi to pan obiecał — odezwałem się po chwili.

— Bo chciał się pan dowiedzieć czegoś nadzwyczajnego, a tymczasem najbardziej nadzwyczajną przygodą, jaka mi się zdarzyła, była ta właśnie. Poza tym jestem człowiekiem takim samym, jak każdy inny, a tylko ludzie przypisują mi rzeczy niezwykłe. Całkiem jak ja wtenczas moim nartom i plecakowi. Dlatego to właśnie opowiedziałem panu.

Widząc, że chce mi się wykręcić, zapytałem prosto z mostu:

— No dobrze, ale kim pan jest właściwie. Co robi pan w górach?

— Co robię w górach? — To co pan. A kim jestem? — Człowiekiem bardzo śpiącym.

Powiedziawszy to, odwrócił się do mnie plecami i w tej samej niemal chwili rozległo się chrapanie tak potężne, na jakie zdobyć się może tylko właściciel takich barów i takiego wzrostu, jak Jerzy Peterson.

Na drugi dzień, gdy zbudziłem się rano, już go nie było. Opowiedziałem całą tą historię w schronisku, dumny ze swego spotkania, ale towarzysze moi nie chcieli mi wierzyć.

— Niemożliwe, żeby to był Peterson. Wydawało ci się tylko!

Żadne argumenty nie skutkowały. Wtenczas wpadłem na zbawczą myśl.

— Człowiek ten — powiedziałem — zjadł za jednym posiedzeniem pół bochenka chleba, miskę zupy i kawał kiełbasy długości mego ramienia. Czy mógł to być zwykły śmiertelnik?

To zrobiło wrażenie.

— Mówisz, że zjadł tyle naprawdę?

— Naprawdę!

— I talerz zupy ugotowanej przez ciebie?

— Tak!

— No, to teraz jasne, że to był Peterson. Zwyczajny śmiertelnik nie zjadłby nigdy zupy, którą ty ugotujesz!

Tym sposobem uwierzono w moje spotkanie z Jerzym Petersonem, który równocześnie nie stracił nic ze swojej legendarności.

Zakopane. *Tadeusz Polcyn.*

Dziecko XX wieku — fotografia reklamowa

Fotografia reklamowa — przedmiot tak mało u nas znany i uprawiany przez nielicznych jeno fachowców i tylko dorywczo — jest jeszcze niewykorzystanym, bogatym terenem dla fotografów o dużej fantazji.

Boć przecież fotografia reklamowa nie polega jedynie na tym, aby sfotografować dany artykuł handlu w sposób wierny, dokumentarny. Wymagamy od niej czegoś więcej. Wymagamy, aby obraz fotograficzny był plakatem, obrazem rzucającym się w oczy, reklamującym w sposób wyraźny i niedwuznaczny dany artykuł sprzedaży. Wszelkie niedomówienia będą tu zawsze fałszywą nutą.

Do czegóż ma służyć fotografia reklamowa? Jest ona materiałem plastycznym w rękach aranżera reklamowego, materiałem, który może być w różnoraki sposób wykorzystany.

A więc można ją użyć jako wzór do plakatu wiszącego, do ulotki, ogłoszenia w czasopiśmie, lub urządzenia witryny reklamowej.

Przez kogo będzie oglądana? Przez wszystkich. Przez każdego mieszkańca miasta, czy wsi. Reklama dociera wszędzie, więc i fotografia reklamowa dociera wszędzie. I dlatego winna być prosta, zrozumiała i wyraźna pod względem tematycznym. Unikać tu należy zbyt subtelnych przenośni, wyszukanych symbolów, bo nie każdy się na nich pozna. Celem fotografa reklamowego jest pokazanie nabywcy wszystkich zalet reklamowanego artykułu w sposób prosty i efektowny. Temat obrazu winien jaskrawością podania „bić w łeb."

Najprostszym typem fotografii reklamowej jest „portret" artykułu reklamowanego. Przedmiot fotografuje się wtedy z punktu, z którego najlepiej uwydatniają się jego charakterystyczne, dodatnie cechy, oświetla się żywo i efektownie, podkreśla światłem jego kształt i materiał, z którego jest wykonany, jego strukturę i charakterystykę powierzchniową.

Takie zdjęcia robi się w Polsce dość często dla celów reklamowych — katologowych. Wartość ich techniczna i artystyczna stoi u nas przeciętnie poniżej minimalnego poziomu, wymaganego za granicą. Brak nam fachowych, wykwalifikowanych fotografów reklamowych. Możnaby było policzyć ich na palcach jednej ręki.

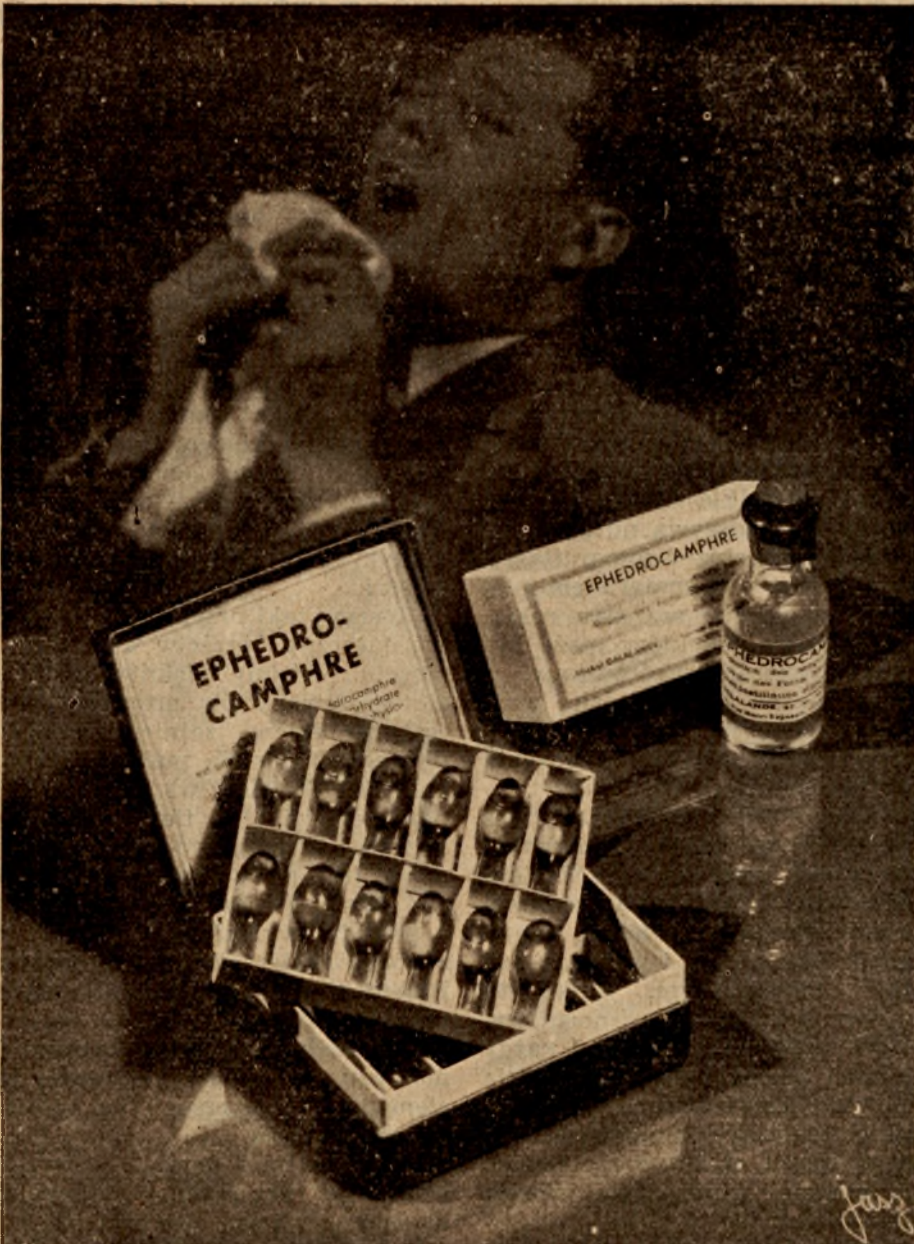
Drugim typem fotografii reklamowej jest plakat skomponowany ideograficznie, w którym fotomontaż, grafika i literatura odgrywają równoznaczne role z objektywem kamery fotograficznej. Objektyw jest tu tylko jednym z narzędzi do wytworzenia całości.

Weźmy taki przykład: preparat farmaceutyczny przeciw katarowi. Na zdjęciu widzimy pięknie, plastycznie sfotografowany ów preparat — i on jest ośrodkiem zainteresowania patrzącego. Napis na pudełku wyklucza pomyłkę. Widzimy wszyscy o jaki preparat chodzi. W tle zarysowuje się sylwetka kichającego młodzieńca. Ten obraz jest potraktowany drugoplanowo, mimo, że jest łatwo dostrzegalny z powodu wyrazistego ruchu, pozy, z pomocą literackiej treści czynności. Plakat staje się zrozumiały: specyfik przeciw katarowi.

Oto dodatni, piękny przykład fotomontażu, przykład zespolenia kilku elementów w harmoniczną całość celowego plakatu.

A teraz inny obraz — tym razem osiągnięty bez pomocy fotomontażu. Żarówka radiowa. Nadzwyczaj pomysłowo wykonane oświetlenie, dające kompozycję cieni, okrążających w swym ośrodku przedmiot zasadniczy. Obraz jest zamknięty kompozycyjnie graficznym napisem.

Weźmy do ręki pierwszy lepszy miesięcznik ilustrowany francuski, niemiecki, czy amerykański. Zobaczymy,



Jasz. (Francja) „Produkty farmaceutyczne".

że połowa zeszytu jest zapełniona reklamami wykonanymi sposobem fotograficznym. Obserwując dokładnie własne wrażenia, spostrzeżemy, że interesujemy się tymi, obojętnymi nam artykułami zagranicznymi. Dlaczego? Właśnie dlatego, że użyto w reklamie fotografii. Że możemy na własne oczy obejrzeć amerykańskie auto, angielskie papierosy, czy paryskie pończochy.



Pierr Adam. (Paryż) „Żarówka radiowa".

Fotografia stanowi odbicie rzeczywistości i dlatego „rzeczywiście" nas absorbuje.

Czy wykonywanie fotogramów, mających służyć do celów reklamowych jest trudną pracą? Bez wątpienia. Wymaga stuprocentowego opanowania techniki fotograficznej, malarskiego sposobu patrzenia na przedmiot. Wymaga znajomości psychologii nabywcy

danego (reklamowanego) artykułu handlu.

Fotograf reklamowy winien być przede wszystkim kupcem — gdyż fotografia reklamowa jest narzędziem reklamy, jednym z narzędzi handlu.

— — — — — — — — — — — —

W listopadzie u. r. gościła w Warszawie międzynarodowa wystawa fotografii reklamowej. Mogliśmy naocznie przekonać się, do jakich wyników doszły np. Anglia, Francja i Ameryka. Ilość środków, którymi rozporządza fotografia reklamowa, powiększa się z każdym dniem. W wielu wypadkach nie chce się poprostu wierzyć, że przy użyciu środków fotograficznych można dojść do takich rezultatów.

Witold Dederk FKP.

Od redakcji

Niusia K. Włocławek. Za list dziękuję. Na fotografię cieszę się z góry.

Ewa M. g. 440. O zainteresowaniach ciekawe — wydrukujemy. Twego artykuliku pod dyskusję nie podam, bo widzę z ostatnich listów kl. VII. g. 668, że się zgadzacie w poglądach.

Michasia Zasadzianka. g. 440. Historię Bukiecika dałam do „Małego Światka". Szczerze współczuję z tragicznym końcem Twego przyjaciela.

Hala K. kl. VII. Kościerzyna. „11 listopada" schowamy na przyszły rok, bo przyszedł zbyt pożno.

Jadzia Kawęcka. g. 440. „Noc św. Mikołaja" musi poczekać do r. 1937. Łamigłówka również poczeka.

Alina S. Stanisławów. „Wakacje zimowe do N. 9 się nie nadają, bo są oczekiwaniem minionych już ferii, ale za to może przyszlesz wspomnienia z ferii? Czy narty dobrze się wysłużyły?

Podhalanka. Za artykuliki dziękuję. Pójdą stopniowo. Kłopot tylko ze „Szlakiem brygady", bo to z przed roku — trzebaby połączyć z tegorocznymi wyczynami. Pisane bardzo żywo! Masz zacięcie!

Kl. I. gim. 837. Ucieszyłam się listami i tym, że się Wam tak podobało „Zwycięstwo". Widzę, że umiecie się zastanawiać, bo Wam ten artykuł tyle poważnych myśli nasunął. Ciekawy list P o t o c k i e j — widać głębsze zainteresowanie otaczającym życiem i sprawami społecznymi (więźniowie). Czekam od Was dalszych ech!

Kl. III. gim. 837. Ciekawe są Wasze zdania o N. 7/8. Podkreślacie przede wszystkim wielostronność poruszanych tematów, zaznacza się też wyraźnie w Waszych listach, iż odpowiada Wam najbardziej to, co czerpane jest wprost z życia. Przy takim nastawieniu staniecie do pracy w społeczeństwie dobrze przygotowane! Zainteresowały mnie zwłaszcza odpowiedzi J e l e ń s k i e j, H a l i T ę c z y ń s k i e j, Ł e b k o w s k i e j i L a s k o w s k i e j, świadczące o szerokich zainteresowaniach i pewnym wyrobieniu sądu. Ciekawe zainteresowanie S i m o n ó w n e j i C z y s z e w s k i e j! Byłabym rada, gdyby S t u d z i ń s k a zechciała swe zastrzeżenia co do Dziś i Jutro poprzeć konkretnymi przykładami z tegorocznych numerów, abym się mogła zorientować, czy tylko Jej sprawiało trudność zrozumienie pewnych artykułów? Krytyka rzeczowa, nie ogólniki dają materiał, z którego można korzystać przy numerach następnych. Więc czekam listu od Studzińskiej — czekam też od Was wszystkich dalszych, równie prostych i szczerych wypowiedzi.

Kl. III. g. 668. Za życzenia i łamigłówki serdecznie dziękuję. Niech M a r y s i a przyszle „Kolegiatę" z ładną fotografią, a L u s i a „Ślizgawkę", też z fotografią! A n k i przepis na piernik toruński trochę poczeka, bo niedawno były „pierniczki-całuski". Proszę o dalszą, żywą współpracę!

Kl. IV. gim. 837. Wasze listy dużo mi powiedziały. Cieszę się ze zdania S u t a r s k i e j: (podobny głos i sąd innych uczennic) „Ostatni numer z 20. XII. bardzo mi się podoba, ponieważ zawiera liczne zagadnienia, nad którymi warto podyskutować." Tak, tego właśnie pragnę: pobudzenia myśli, wywołania dyskusji! A D a n u t a S. pisze: „Artykuły w N. 7/8 podobają mi się, każdy inny, a każdy interesujący." G r u n w a l d ó w n a zaznacza: „Pełnowartościowe są artykuły o charakterze społecznym. Dają nam dużo, są oryginalne, bardzo dobre." Nie mogę się jednak zgodzić z H a n k ą P., która uważa, że ankieta z 1. XII o placówkach pracy kobiet, jakkolwiek ciekawa sama w sobie, jest zbyteczną, bo: „tą kwestią zajmował się już Żeromski (?), a obecnie zajmują się tym różne instytuty". Zdaje mi się, że sprawa ta jest dla każdej z Was bliska i aktualna i każda się nią zainteresować

powinna, a jednym ze środków do tego będzie — udział w ankiecie. Wiele z Was prosi o artykuły z najnowszej literatury i sztuki — są przygotowane! Pragniecie czegoś z teatrów i filmu — owszem, będzie. Pragniecie jak najwięcej wiadomości z życia dzisiejszego — zgadzam się z tym zupełnie. Musimy życie znać, by je współ-tworzyć. Danka S. pragnie więcej fotografii — czy nie urządzić konkursu fotograficznego, jak przed paru laty? Wypowiedzcie się! Dalszych listów czekam!

Kl. VII gim. 668. Siódmaki roztomiłe! Ujęłyście mnie ogromnie Waszymi ostatnimi listami — takie proste i serdeczne a rozumne. Cieszę się, że N. 7/8 tak się podobał, że „znalazłyście to, o co Wam właśnie chodziło". Część zasługi jest tu po Waszej stronie, bo tak szczerze napisałyście mi, czego pragniecie. A teraz — realizujcie słowa M. Karpińskiej że: „pracę na nowy rok 1937 zaczniemy wspólnie".

Waysówna pragnie czegoś z wynalazków najnowszych, zwłaszcza wynalazków kobiet — postaramy się i o to, bo dziś każdy, choćby był — egiptologiem — jeżeli chce żyć w życiu współczesnym, musi mieć oczy otwarte i na zagadnienia techniki.

Jedna z Was pisze: „Ze wstydem muszę się przyznać, że autorów najnowszych mało znamy — dlatego chciałybyśmy czegoś z tego zakresu". Rzeczywiście, trudno przy Waszej wytężonej pracy szkolnej o czas na czytanie tej powodzi nowych książek, które wciąż wychodzą. Postaramy się Wam dopomóc do orientacji w nich.

Wanda Św. prosi o umieszczenie anonsów, informujących czytelniczki o szkołach wyższych w Polsce i za granicą. Zgoda.

Przyborowska wyjaśnia, jak rozumie urządzenie konkursów międzyszkolnych na łamach Dziś i Jutro: „Wyobrażam sobie tak, że Redakcja będzie podawała co pewien czas jakieś zajmujące tematy, nie zanadto naukowe, a budzące ogólne zainteresowanie. Nadsyłane wypowiedzenia się Redakcja będzie osądzać, ogłosi, które były najlepsze, może nawet te najlepsze wydrukuje. Przy końcu roku ta szkoła, której uczennice nadesłały najwięcej dobrych odpowiedzi, uzyskałaby jakąś pochwałę, czy dyplom, czy tp.

Projekt Przyborowskiej bardzo mi się podoba, więc teraz proszę wszystkie czytelniczki o nadsyłanie tematów do takich konkursów! A Marysia Karpińska pisze w sprawie korespondencji międzyszkolnej na łamach Dziś i Jutro: „poznałybyśmy się przez to wzajemnie, nie znając się właściwie osobiście, poznałybyśmy lepiej nasz kraj". Więc — zacznij, Marysiu!

A co sądzicie o pomyśle M. Gogojewicz: „Zdaje mi się, że byłoby dobrze podzielić tematy na grupy i umieszczać je podług grup w poszczególnych numerach (np. literackie, historyczne itp.), a oprócz tego umieszczać w każdym numerze rubrykę krótko ujętych najważniejszych zdarzeń bieżących". Czy nie bardziej psychologicznym byłoby ujęcie takie, że każdy numer zawiera artykuły z różnych dziedzin (a więc — stosowne do różnych zainteresowań czytelniczek), przy tym numery posiadają pewne idee przewodnie, obejmujące bądź numery pojedyncze, bądź ich cykle. Proszę o dyskusję!

Andę J. o przepis na ciastka proszę, a Staszkę Hl. za jej serdeczny, zamaszysty list specjalnie ściskam! Całą VII kl. serdecznie pozdrawiam i liczę na Was bardzo! Red.

Wśród książek

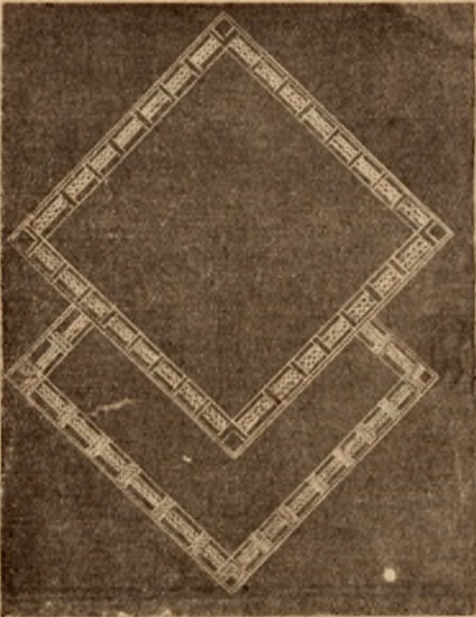
Burzyński Zbigniew kpt.: „Pomiędzy chmurami". Lwów. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Cena 2,50 zł. Książkę tę połknąłem jednym tchem! Pisana żywo, po prostu, daje nie tylko dużo wiadomości o naszym lotnictwie balonowym, tak dobrze stojącym, ale niesie mnóstwo emocji, które się przeżywa wespół z autorem. Dużo tych szlachetnych wzruszeń lotu wzwyż i w dal dała mi ta książka i dlatego polecam ją gorąco każdemu! Ig. M.

K. J.: „Społeczne zasady ewangelii". Poznań 1936. „Ostoja". Cena 2,20 złotych.

Wiele bywa w obecnych czasach zatargów zarówno między pojedyńczymi ludźmi, jak i między różnymi grupami społecznymi. Te zatargi pochodzą stąd, że ludzie w swym postępowaniu z drugimi nie kierują się zasadami bożymi, jakie nam Chrystus wyłożył w ewangelii. Przypomnienie więc tych zasad prowadzi do uspokojenia zatargów społecznych, rodzinnych itp.

Oto tematy poszczególnych rozdziałów: Społeczna nauka ewangelii. Wartość człowieka. Rodzina — kobieta — dziecko. Państwo i władza. Naród. Praca i płaca. Bogactwo i własność. Braterstwo i sprawiedliwość. Miłość. Pokój. Kościół. Społeczna siejba ewangelii.

Maria Suchocka: „Młodzież w ramach Akcji Katolickiej". Poznań 1936. „Ostoja". Cena 0,30 zł.





Łamigłówka

ul. Magda Grodyńska. Gimn. 140.

Ułożyć szereg wyrazów z podanych liter. Rząd środkowy pionowy i poziomy będzie rozwiązaniem.

					A					
				A	A	A				
			A	E	G	G	I			
		I	I	I	K	K	L	L		
			Ł	Ł	M	M	[illegible]			
N	N	N	N	O	O	O	O	O	O	P
			[illegible]	P	P	P	R			
		S	S	T	T	U	U	W		
			W	Y	Y	Y	Z			
				Z	Z	Z				
					Z					

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Jest w wierszu. 3) Inaczej pościg. 4) Jest przy paleniu się ciał. 5) Gatunek materiału. 6) ? 7) Inaczej strumień. 8) Ptaki śpiewające. 9) Inaczej prospekty. 10) Zdrobniałe imię żeńskie. 11) Samogłoska.

Solidny znalazca

— Oskarżony, czemuż to nie zwróciliście poszkodowanemu portmonetki z pieniędzmi, znalezionej wieczorem na ulicy? Trzeba ją było natychmiast przynieść na policję.

— Pora była spóźniona, panie sędzio.

— No, a czemu nie odnieśliście jej nazajutrz z rana?

— Gdyż portmonetka już była pusta.

Problem

Jasio: Tatusiu czy na mnie wyrośnie pierze?

Ojciec: Dlaczego miałoby wyrosnąć?

Jasio: Bo ja mam gęsią skórę.

W sklepie

Sześcioletni Jaś: — Proszę pana cukru za 50 groszy i reszty ze złotego.

— Gdzież jest złoty?

— Mama powiedziała, że przyniesie jutro.

TREŚĆ N-ru 9:

Warunki prenumeraty: rocznie w kraju 5 zł.
„ za granicą 7 zł.
Numer pojedyńczy 30 gr.
Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.
Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska, Warszawa, Łowicka 31.
Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.
Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31.
Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.